

Pani Granger

W PIĄTEJ KLASIE wszystko się zmieniło – nadszedł czas przygotowań do gimnazjum. Piąta klasa oznaczała egzaminy końcowe ze wszystkich przedmiotów. I brak przedpołudniowej przerwy. I prawdziwe, a nie opisowe oceny na świadectwie. Lecz przede wszystkim piąta klasa oznaczała spotkanie z panią Granger.

Wszystkie klasy piąte liczyły razem około stu pięćdziesięciu uczniów, których uczyło siedmioro nauczycieli: dwoje matematyków, dwóch fizyków, dwoje socjologów – i tylko jedna nauczycielka angielskiego. Pani Granger miała monopol na nauczanie języka angielskiego, cieszyła się też zasłużoną sławą.

Pani Granger żyła samotnie w schludnym domku w starszej części miasta. Każdego ranka, nie zważając na ulewne deszcze czy spiekotę, zamiecie śnieżne czy gołoledź, grad czy szalejącą wicherę, przyjeżdżała do szkoły swoim starym, bładoniebieskim samochodem. Od niepamiętnych czasów nie opuściła ani jednego szkolnego dnia.

Miała już niemal zupełnie białe włosy, które szeszywała gładko z czoła i upinała z tyłu głowy w coś w rodzaju gniazda. W odróżnieniu od niektórych młodszych nauczycielek, pani Granger nigdy nie przychodziła do szkoły w spodniach – nosiła na zmianę dwa eleganckie kostiumy ze spódnicą, niebieski i popielaty, do których niezmiennie zakładała białą bluzkę, ozdobioną pod szyją niewielką kameą. Należała do ludzi, którzy nigdy się nie pocą: żeby pani Granger zdecydowała się zdjąć żakiet, temperatura w sali musiała przekroczyć trzydzieści stopni.

Jak na nauczycielkę była wyjątkowo drobnej postury; bywało, że nawet niektórzy piątoklasiści przewyższali ją wzrostem. Mimo to pani Granger sprawiała wrażenie olbrzymki. Działo się tak z powodu jej oczu, pod których ciemnoszarym, przeszywającym człowieka na wylot spojrzeniem winowajca nabierał przekonania, że jest kompletnym zerem. Oczywiście pani Granger potrafiły się także uśmiechać i czasem zapalały się w nich figlarne isierki, a jej uczniowie zaświadczały, że pani Granger umie opowiadać świetne dowcipy. Jednak to nie dowcipy przyczyniły się do jej sławy.

Nikt nie wątpił, że przed wyposażonym w promienie Roentgena wzrokiem pani Granger nic się nie ukryje. O żuciu gumy w promieniu stu pięćdziesięciu metrów od jej osoby nie było nawet mowy. Uczeń żujący gumę zostawał przez panią

Granger natychmiast złapany, zmuszony do wyplucia gumy i przyklejenia jej na specjalnej, jaskrawożółtej karcie. Kartę z gumą pani Granger przypinała delikwentowi agrafką na samym przodzie koszulki – i tak przyozdobiony, nieszczęśnik musiał paradować po szkole przez cały dzień. Nie koniec na tym: kartę z gumą należało zabrać do domu, żeby podpisał się na niej jeden z rodziców, i następnego dnia przynieść pani Granger do kontroli. Dla pani Granger nie liczyło się to, czy winowajca jest już uczniem piątej klasy, czy nie, uważała bowiem, że prędzej czy później i tak nim zostanie.

Każde dziecko z Lincolna dobrze wiedziało, że w nieuniknionej przyszłości – czyli w piątej klasie – nadejdzie czas, kiedy to właśnie pani Granger będzie oceniała jego testy ortograficzne, testy na czytanie ze zrozumieniem i najgorsze z nich wszystkich: testy sprawdzające znajomość nowego słownictwa. I to tydzień w tydzień, miesiąc po miesiącu.

Nauczyciele wszystkich możliwych języków na całym świecie z upodobaniem odsyłają swoich uczniów do słownika: „Sprawdźcie pisownię tego słowa. Sprawdźcie jego znaczenie. Sprawdźcie, jak prawidłowo podzielić ten wyraz na sylaby.”

Lecz powiedzieć, że pani Granger znajdowała upodobanie w pracy ze słownikiem, to zdecydowanie za mało. Pani Granger uwielbiała słowniki, otaczała je niemal religijną czcią. Zadawana przez nią co tydzień lista nowych słów do opanowania liczyła trzydzieści pięć pozycji, czasem nawet więcej,

Jakby tego było mało, codziennie rano na tablicy pojawiała się „słowo dnia”. Gdyby ktoś opuścił dzień w szkole, nie przepisał tego słowa, nie zajrzał do słownika i nie nauczył się, co ono znaczy, pani Granger i tak odkryłaby to wcześniej czy później – i przez cały tydzień zadawałaby mu do sprawdzenia aż dwa „słowa dnia”.

Na regale stojącym z tyłu sali pani Granger przechowywała zestaw trzydziestu słowników języka angielskiego. Jej oczkiem w głowie był jednak gigantyczny leksykon, zawierający chyba wszystkie słowa używane we wszechświecie, tak wielki, że do przenoszenia go z miejsca na miejsce potrzeba było dwóch osób. Ten słownik królował na własnym stoliku, ustawionym na poczesnym miejscu pośrodku klasy, pod tablicą, i wyglądającym trochę jak ołtarz.

Każdy absolwent Lincolna, który ukończył tę podstawówkę w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat, doskonale pamięta, jak stał przy owym stoliku, słuchając okrzyku bojowego pani Granger: „W takim razie sprawdź! Słowniki właśnie po to są!”

Jeszcze na długo przed rozpoczęciem roku szkolnego, kiedy wakacje Nicka i jego kolegów trwały w najlepsze, pani Granger miała pełne ręce roboty. Rodzice każdego ze świeżo upieczonych piątoklasistów otrzymali od niej list.

Fragment tego listu mama Nicka odczytała głośno przy kolacji któregoś sierpniowego wieczoru.

W każdym domu powinien się znaleźć dobry słownik języka angielskiego, tak aby ułatwić uczniom sumienne odrabianie prac domowych. Umiejętność operowania bogatym słownictwem oraz wiedza z zakresu gramatyki i ortografii są niezbędne w dorosłym życiu. Precyzja myślenia wymaga precyzyjnego posługiwania się językiem ojczystym, a piąta klasa jest w rozwoju każdego dziecka okresem wręcz idealnym na wzbogacanie zasobu słownictwa.

Po tych zdaniach następował spis słowników, które pani Granger uważała za „zadowolające w roli pomocy naukowej w pracach domowych”.

– Jak to miło trafić na nauczycielkę, która tak poważnie traktuje swój zawód! – ucieszyła się pani Allen.

Nick jęknął głucho i próbował ze smakiem dokończyć swojego hamburgera. Ale nawet arbuz na deser nie zdołał mu już poprawić humoru.

Nick nie znajdował dla słowników szczególnego zastosowania: znał wiele trudnych wyrazów, lubił je i wiedział, jak ich używać. Odkrył, że znajomość wszystkich słów, których potrzebuje, zawdzięcza czytaniu książek – a czytał ich całe mnóstwo.

Kiedy zdarzyło mu się napotkać wyraz, którego nie znał, pytał o jego znaczenie starszego brata, tatę, albo kogoś, kto się akurat nawinał; jeśli wiedzieli, co dane słowo znaczy, odpowiadali. Dla pani Granger takie postępowanie było niedopuszczalne. Nick dużo o niej słyszał, w zeszłym roku w bibliotece widział też na własne oczy piątoklasistów z nosami w słownikach, którzy gorączkowo kończyli odrabiać zadania domowe z nowego słownictwa tuż przed lekcją angielskiego.

Do rozpoczęcia zajęć pozostał jeszcze tydzień, a Nick już miał przeczucie, że ten rok szkolny będzie bardzo długi.